

## Z pamięcią katastrofa

Andrzej Romanowski



***Pora to wreszcie powiedzieć: to patriotyzm w wydaniu "Solidarności" doprowadził nas do PiS-u. Dla naszej tożsamości i tradycji to dzisiaj zagrożenie nie mniejsze niż kiedyś komunizm - bo równie płaskie i kłamliwe***

Świetny wynik Jarosława Kaczyńskiego w wyborach prezydenckich to zła wiadomość dla Polski. W jaki sposób katastrofa smoleńska mogła unieść PiS i jego prezesa na tak wysoką falę? Wszak na zdrowy rozum to nieszczęście, wynikię prawdopodobnie z pędu do demonstracji, z imperatywu lądowania w każdych warunkach, powinno było stanowić przestrogę przed takim uprawianiem polityki. Tymczasem doczekaliśmy zbiorowej hysterii odwołującej się do płytko pojętej tradycji bitewnej i powstańczej, do tych wzorów z przeszłości, które wykazywały najmniejszą polityczną kalkulację, ba! największą dozę nieodpowiedzialności.

Jarosław M. Rymkiewicz przeciwstawił "Polskę na lawecie" Polsce, "która chce się podobać na świecie". Otóż niegdyś Polska sarmacka bardzo się podobała samej sobie, za to światu - niekoniecznie. "Trzeba ucywilizować tych Irokezów" - pisał o Polakach do francuskiego filozofa Jeana d'Alemberta Fryderyk II pruski.

Kult sarmackiej swojskości miał długi żywot, więc zapewne także dlatego zdajemy się dziś nie przyjmować do wiadomości, że zmieniła się wreszcie fatalna polska geopolityka. I można to zrozumieć: skoro przez tyle wieków Rzeczpospolita była okrążona przez wrogów - jak mamy teraz przyjąć istnienie państwa otoczonego przez przyjaciół? Skoro przed wiekami toczyliśmy wojny głównie z niewiernymi - jak dziś pojmować polskość poza wiarą katolicką? Skoro sarmacką cnotę przeciwstawiano zepsutej Europie - jak mieć zaufanie do Brukseli? A skoro za sarmackim regionalizmem, za rokoszami szedł paraliż władzy centralnej - jak cenić państwo własne: nie oskarżać go o obcość, zdradę, spisek?

### **Uгода, czyli norma**

Zrozumieć nie znaczy jednak: godzić się. Historia nie przyzwyczaiła nas do własnego państwa. Już w XVIII w. byliśmy rosyjskim protektoratem. A cóż mówić o wieku XIX, gdy istniało kilka polskich państw, powstałych i rządzonych z woli obcych. Cóż mówić o XX, w którym były i "listopadowe królestwo" pod niemieckim patronatem w I wojnie światowej, i Polska Ludowa pod patronatem sowieckim. Jedynie w międzywojennym XX-leciu mieliśmy państwo naprawdę własne.

Ale tylko dziś nasz patriotyzm rządzi się kilkoma czarno-białymi kliszami. Polacy w niewoli raczej rzadko nie mieli niczego. Ich podstawowe pytanie brzmiało nie tyle „bić się czy nie bić”, ile „umacniać czy nie umacniać te państwa, te autonomie” - czasem quasi-niepodległe. A na to nie było jednej odpowiedzi, wszystko zależało od ewoluującej sytuacji wewnętrznej i zmieniającej się konfiguracji międzynarodowej.

Kto jednak dobrze życzył Polsce, temu ugoda nie myliła się z kapitulacją. Każdy rozumiał, że ugoda to targ, coś za coś. Tym "czymś" była najczęściej rezygnacja z niepodległości (czegoż więcej mógł

oczekiwać zaborca) w zamian za prawo kultywowania języka, obyczaju, religii i kultury (czegoś więcej - po katastrofie politycznej - mógł oczekiwać Polak). Nie była ugodą ani targowicą w XVIII w., ani PPR w XX. O ile jednak targowica doprowadziła, choć wbrew własnym zamiarom, do rozbioru, o tyle w Europie po II wojnie jedynie siła polityczna bezwzględnie oddana Stalinowi mogła zbudować nowe państwo polskie, a utratę ziem wschodnich zrekomensować nabytkami na zachodzie.

W PRL-u, jak niegdyś w Królestwie Kongresowym czy Rzeczypospolitej Krakowskiej - trzeba było jakoś żyć. A więc i jakoś się ułożyć. Między insurekcją, kapitulacją a zaprzaństwem sytuowała się w XX i XIX w. polityka ugody i można rzec nawet, że była normą, podczas gdy powstania bądź otwarte zdrady - wyjątkami. Po każdej wojnie - mówiąc słowami Poetki - ktoś musiał posprzątać...

Pierwszym w XIX w. układem z zaborcą był plan puławski księcia Adama Czartoryskiego z 1805 r. Zaledwie 11 lat po klęsce powstania kościuszkowskiego. Innym - adres Sejmu galicyjskiego z 1866: "Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy". Za ledwie dwa lata po klęsce styczniowego. Oba nie są przez nas specjalnie lubiane. Gdy jednak uświadomimy sobie, że powstanie kościuszkowskie przyniosło zagładę polsko-litewskiej państwowości, a styczniowe przyniosło rusyfikację - jaki mógł być rachunek zysków i strat?

Przecież to dzięki temu, że Czartoryski trwał nie przy Napoleonie, lecz przy carze Aleksandrze, mógł potem, na kongresie wiedeńskim, wskrzesić Królestwo Polskie. I to dzięki temu, że Polacy ułożyli się z zaborcą austriackim, Galicja stała się z czasem "polskim Piemontem", a Piłsudski mógł tu uzbroić swą kadrówkę. Co by się stało, gdyby w latach napoleońskich Polska nie miała wariantu awaryjnego? I gdyby w 1866 r. Polacy wysunęli hasło powstańcze, dokonali próby oderwania Galicji od Austrii?

Na bezwzględnej krytyce ideologii powstańczej oparto dwie najważniejsze polityki ugody. Ta XIX-wieczna była dziełem stańczyków z krakowskiego "Przeglądu Polskiego"; XX-wieczna - katolików z krakowskiego "Tygodnika Powszechnego". Pierwsza była wynikiem porażenia klęską powstania styczniowego, druga - Powstania Warszawskiego. "Liberum conspiro" - szydził z polskich spisków Józef Szujski. "Powstanie wymierzone militarnie przeciwko Niemcom, politycznie przeciwko Sowietaom, demonstracyjnie przeciw Anglosasom, a faktycznie przeciw Polsce" - oskarżał Jasienica. Czy ludzie ci byli zdrajcami? Do takich wniosków mogłoby dziś prowadzić tak bez umiaru chwalone Muzeum Powstania Warszawskiego.

### **Niesprawiedliwość pamięci**

Gdy na dzieje Polski spogląda się z perspektywy szerszej niż kanon patriotycznej niezłomności, gdy dysponuje się elementarną choćby empatią dla kraju i zamieszkujących go, obecnie lub w przeszłości, ludzi różnych narodowości i wyznań, nie powinno się mieć wątpliwości: PiS-owska "polityka historyczna" była wyzwaniem rzuconym Polsce i jej tradycji. Zarówno w Muzeum Powstania, jak i w wystąpieniach prezydenta Lecha Kaczyńskiego, a wreszcie w szerzonym przez IPN kulcie powojennego "podziemia niepodległościowego" i "żołnierzy wyklętych" liczył się tylko jeden miernik patriotyzmu: upływ krwi - tym większą budzący satysfakcję, im mniej za nim stało politycznej kalkulacji, im bardziej tragiczne były jego skutki. Otóż takiego myślenia dotąd w Polsce nie znaleźliśmy. Owszem, w II RP czczono tradycję powstańczą i fetowano weteranów 1863 r., lecz świeża była pamięć stańczyków i pozytywistów, czasem jeszcze żyjących, jak Michał Bobrzyński czy Aleksander

Świętochowski. Żywe było dziedzictwo literatury pięknej: goryczy Bolesława Prusa z "Omyłki", rozpacz Żeromskiego z "Rozdzióbią nas kruki, wrony".

Z patriotyzmem powstańczym konkurował patriotyzm Narodowej Demokracji, dla którego "socjalistyczny" czyn Legionów był w istocie antynarodowy. Nie było też mowy o ograniczeniu patriotyzmu do któregośkolwiek z segmentów sceny politycznej ani o łączeniu go z porządkiem katolickim - nie pozwalały na to antyklerykalne i laickie korzenie ideologii Piłsudskiego, Dmowskiego i Witosa. Zresztą sami przywódcy umieli wzniesić się ponad historiozofię własnego obozu: kultywujący tradycję powstańczą Piłsudski żywił szacunek do największego wroga powstania - Wielopolskiego. Dlatego, mimo wszelkich ograniczeń i naiwności, patriotyzm II RP miał piętno ogólnonarodowe (choć nie ogólnoobywatelskie), był więc przez Polaków odbierany jako autentyczny. I nic dziwnego, że tak świetnie zdał egzamin w latach II wojny.

Możliwość wyboru istniała też z początku w III RP. Również wtedy żyli jeszcze ludzie pamiętający, z jak niskiego pułapu startowaliśmy. A przy tym nowe elity, wywodzące się z antykomunistycznej opozycji, starały się zachować wierność Sołżenicynowskiej dewizie "żyć bez kłamstwa" - próbowały zaszczepiać społeczeństwu prawdę, przywilej ludzi wolnych. Z takiej postawy brały się próby rozrachunku z polskim antysemityzmem, polityką antyukraińską, powojennym odwetem na Niemcach, postawą AK.

Wprawdzie usiłowania te - ich kulminacją stały się w 2001 r. obchody w Jedwabnem - były w sumie dość marginalne. Szybko zbudził się sprzeciw: **Jedwabne** - pytano - czy raczej **Westerplatte**? We wstydliwym milczeniu utonęły nieliczne próby rozrachunku z ideą "Solidarności". A w miarę upływu czasu zaczęto ją traktować nie jako ruch non violence, lecz... nowe powstanie. Nie podjęto też nigdy dyskusji nad rolą polskiego papieża - o tym wolno było mówić tylko na klęczkach. Lecz mimo to, w całej palecie postaw obecnych w III RP, nikt nie odważał się sławić walki, której jedynym rezultatem była krew. Propagowanie takich wzorców - czuliśmy to wszyscy, ci zwłaszcza, co przeszli przez szkołę "Solidarności" - miałyby wydzźwięk antynarodowy. Życzyliśmy dobrze Polsce, więc nie dopuszczaliśmy irracjonalizmu.

## **Bez debaty**

III RP miała szansę stać się państwem wielkiej ideowej syntezy. Powstała wszak w drodze układu z komunistami, ale jej aksjologia była antykomunistyczna. Jedno i drugie stanowiło wartość. Jednak terminem "antykomunizm" ochrzczono u nas walkę nie z systemem czy ideologią, lecz z nieistniejącym PRL-em, a raczej z ludźmi PRL-u, a czasem po prostu z aktualnym przeciwnikiem - jak nie byłym członkiem PZPR, to agentem, jak nie agentem, to człowiekiem, który mógł być agentem... Ta postsolidarnościowa spirala wariactwa, widoczna w kolejnych bataliach o lustrację, dekomunizację i dezubekizację, potęgowała z każdym rokiem. A przecież aksjologia państwa to sprawa jednego porządku, a stosunek do przeszłości - drugiego.

Problem bowiem polegał nie tylko na tym, że PRL był jedynym polskim państwem, które okazało się możliwe po przegranej przez Polaków wojnie, lecz także na tym, że ta "Polska Ludowa" ewoluowała. Dlatego zdumiewa, że jest wciąż określana mianem "państwa totalitarnego", że przemilcza się porzucanie (choćby niekonsekwentne) komunistycznej ideologii, lekceważy wzmocnienie (choćby chwilowe) struktur państwowych kosztem rządzącej monopartii.

Tymczasem to właśnie stosunek do PRL-u określił nasz postsolidarnościowy dyskurs już od samego początku bezalternatywny. Bo przecież o PRL-u - w książkach, filmach, publicystyce - nie godziło się powiedzieć nic dobrego. Czyżby tę passę miał przełamać dopiero Jarosław Kaczyński sławiący Edwarda Gierka?

Gdyby Okrągły Stół porównać z wcześniejszymi układami - jak te z lat 1805 i 1866 - uderza jego bezprecedensowy triumf: odzyskano całe państwo. Czy był triumfem jednej tylko strony? Ale po stronie solidarnościowej jego sukces wzbudził pogardę dla partnera, który okazał się słaby, toteż wkrótce zaczęła się rozpowszechniać tęsknota za inną niż negocjacyjną drogą zdobywania wolności. Choć więc Okrągły Stół można było interpretować jako wielką rehabilitację (ekspiację?) ludzi PRL-u, odtąd tym bardziej nie było już alternatywy dla wrogości.

Podobnej jednolitości opinii dotąd w Polsce raczej nie mieliśmy. Przeciw pogładowi dominującemu gotowe były zwykle podnieść się głosy sprzeciwu, duch liberum veto.

Na temat przeszłości podejmowano w Sejmie III RP kolejne uroczyste uchwały, ale prawdziwej debaty nie było. Jest to oczywisty rezultat dyskursu bezalternatywnego, ale też braku cywilnej odwagi. Bo czy można sobie wyobrazić, by ktoś - jak niegdyś Stanisław Brzozowski - zaatakował dziś "Polskę dziecianną"? Jak Boy kpił z narodowych świętości? Jak Mrozek szydził z polskiej martyrologii? Jak Gombrowicz wzywał do zastąpienia ojczyzny syncyzną? Dziś, gdy mamy awanturę o krzyż przed Pałacem Prezydenckim, czy ktoś - w imię polskiej racji stanu! - potrafi wykrzyknąć, jak sto lat temu Wyspiański: "Krzyż przeklnę, Chrystusa godło, gdy męką naród uwiodło!"?

Owszem, od lat słychać godne najwyższego szacunku głosy niezgody na polski, solidarnościowy i postsolidarnościowy, kanon patriotyczny: Andrzeja Walickiego, Bronisława Łagowskiego... Jednak dominuje mistyka krwi, męczeństwa i ofiary, symbolika wiecznego powrotu do polskiej Golgoty: Katynia. Ten nasz obecny patriotyzm, ostatecznie już skodyfikowany, krwią opieczętowany, w podziemiach wawelskich złożony - został zaakceptowany choćby w tym tylko sensie, że w tradycji polskiej nie mieści się przesuwanie trumien. Można więc rzec: na takie przeżywanie patriotyzmu zostaliśmy skazani. Ale nie wolno milczeć, gdy widzi się, jak bardzo jest to groźne - dlatego że jest irracjonalne, ale też dlatego, że żywi się szukaniem wroga, spisku i zdrady; obsesyjnie wyklucza z narodowej wspólnoty. Apel o zakończenie wojny polsko-polskiej brzmiał fałszywie w ustach Kaczyńskiego, a trzynastozgłoskowiec użyty w wierszu Rymkiewicza nie sprawia, że utwór ten przestaje być bluźnierczy.

W uprawianej dotąd PiS-owskiej „polityce historycznej” rozbrat z polską tradycją widniał na każdym kroku. Także wtedy, gdy w wystąpieniach publicznych odrzucało się pogodę, luz i śmiech, nie wiedząc, że kpina, dystansem i parodią żywiono się w Polsce przez stulecia. „Śmiech o szyby bije, z ław się zerwał sejm i krzyknął: »Polska niechaj żyje! «”. W tej wizji Lechonia powinien się zmieścić PiS - a przecież: jakże jest on odmienny.

Bo model patriotyzmu trumiennego, jaki przeżywamy "po Smoleńsku", zawsze tak samo odświętny, patetyczny i ponury - czy może jeszcze poruszyć? Jak się okazało, może. Ale nieprzypadkowo nadeszła reakcja - roześmiana twarz Grzegorza Napieralskiego. I nieprzypadkowo zareagował na reakcję ktoś, jak nie Jarosław Kaczyński?

## **Bez Wałęsy, bez lewicy**

Czy w minionym pięcioleciu mieliśmy do czynienia z "patriotyzmem afirmatywnym"? Gdy mówiono, że III RP "nie zaproponowała Polakom języka dumy", mogło się zdawać, że raz wreszcie będziemy dumni - w IV RP. A więc np., że powie się rodakom: przeszliście przez PRL z honorem. Tymczasem wielbiciel "dumy" byli zarazem wielbicielami "teczek". Zdawałoby się, że orędownicy "dumy" będą dumni z Okrągłego Stołu. Tymczasem był on dla nich kapitulacją - dumni byli z klęski Powstania Warszawskiego. Z państwa też nie byli dumni - dla nich był to "Rywinland", "Ubekistan". W dyskursie historycznym, prowadzonym pod hasłem "przywracania pamięci", usuwano z tradycji wszystko, co wiązało się z lewicą. Do ostatnich wyborów tradycja lewicowa to była nieledwie tradycja zdrady. Czy trzeba przypominać, że obrażało to pamięć Piłsudskiego? I czy należało się godzić z kompletną społeczną nieświadomością, czym była niepodległościowa PPS? Z ignorancją tego, że ostatnim uznawanym przez świat premierem rządu londyńskiego był socjalista Tomasz Arciszewski? Z zapomnieniem, jakie stało się udziałem Kazimierza Pużaka, zmarłego w stalinowskim więzieniu?

A skoro byliśmy w stanie przemilczeć setną rocznicę rewolucji 1905 r., to znaczy, że za burtę wyrzuciliśmy nie tylko lewicę, lecz także prawicę: Narodową Demokrację, Dmowskiego... W publicznym dyskursie pominięto też 50. rocznicę polskiego Października, eksponując z 1956 r. tylko poznański Czerwiec - bo krwawy. Mówiono, owszem, o Marcu '68, ale na uroczystości u prezydenta Kaczyńskiego nie zaproszono człowieka symbolu Adama Michnika. Z "Solidarności" pamiętano nie tyle "porozumienie Polaka z Polakiem", i nie tyle lewicowe, egalitarystyczne postulaty, ile stan wojenny owocujący setką zabitych. A skoro na czele "Solidarności" stał Lech Wałęsa, to "język dumy" podszeptał: Wałęsa był agentem i sikał do kropielnicy!

I tak oto przeszłość, zredukowana do "zbrodni komunistycznych" i papierów esbeckich, sadzana, jak gen. Jaruzelski, na ławie oskarżonych, przeszłość, w której brakło wspomnianych pół- i ćwierćwolności, będących istotą dziejów Polski minionych dwóch stuleci, musiała stać się przeszłością sztucznie skodyfikowaną, skłamaną, zinfantylizowaną. A wreszcie też nihilistyczną. Tym bardziej że na jej straży stał IPN.

Bo też IPN to nie tylko - tak na ogół bezkrytyczne - operowanie na papierach ubeckich i esbeckich. To nie tylko filozofia, w której niechętnie traktuje się ojca niepodległości Jacka Kuronia, a ponad miarę eksponuje tużpowojenne podziemie zbrojne. IPN to także pole badawcze ograniczone z mocy ustawy do lat 1944-89. To dla prawdy dziejowej zagrożenie może największe, bo przecież Polacy zetknęli się z komunizmem już w 1918 r., w POW i I Korpusie. A później wymordowano w ZSRR polskich komunistów. Bez uwzględnienia tych pierwszych rozdziałów zagadnienia "Polska a komunizm" praca badawcza IPN-u nie ma większego sensu. Ale przecież nie o nią tu chodziło. Chodziło o igrzyska.

## **Trujący kwiat**

Tak czy inaczej, zrozumienie historycznego dziedzictwa Polaków to dla dzisiejszej prawicy zadanie zbyt intelektualnie wyczerpujące. A dla lewicy Napieralskiego - jałowe i nudne.

"Historia Polski jest jedną z najbardziej zakłamanych historii, jakie znam" - mówił niegdyś Jerzy Giedroyc. Co miałby do powiedzenia w ostatnich latach, gdy historia zaciągnęła się "na służbę" (określenie Mariusza Janickiego i Wiesława Władyki)? A co miałby do powiedzenia w ostatnich tygodniach, gdy odmieniony Kaczyński deklarował z jednej strony odzyskanie "wartości i patriotyzmu", z drugiej zaś czynił przedmiotem targu te właśnie wartości, zdawało się, że dla niego święte? "Odzyskiwanie pamięci", rozpoczęte niegdyś manipulacją, instrumentalizacją i polityzacją, zakończyło się spaloną ziemią, na której najpierw dokonywano lustratorskich egzorcyzmów bądź groteskowych, rocznicowych happeningów, a w końcu zaprzeczono wszystkiemu, w co dotąd wierzono.

Ale cóż - tego też chcieliśmy, gdyśmy na progu III RP tworzyli ów dyskurs bezalternatywny - z biegiem lat coraz bardziej ideowo jednorodny, nasycony fałszem. Budując na podłożu raczej mało demokratycznym, znaleźliśmy się na równi pochyłej, po której łatwo już było ześlizgnąć się na PiS-owskie dno. Tymczasem - czas to wreszcie przyznać - patriotyzm w wydaniu "Solidarności" musiał doprowadzić do PiS-u, bo jest to jego ukoronowanie, zwieńczenie i kwiat. Ba! ale dla naszej tożsamości i tradycji stanowi dziś ten kwiat zagrożenie nie mniejsze, bo równie płaskie, banalne i kłamliwe jak niegdyś komunizm. A nawet w pewnym sensie większe, bo nie pochodzące "z zewnątrz", lecz odwołujące się do polskiej tradycji, co z tego, że w jej najbardziej anachronicznej wersji. Patriotyczne papu ma zawsze w Polsce klientelę i - jak widać - w ciemno jest aprobowane przez Kościół.

Czy pamiętamy jeszcze zgrabne frazy w rodzaju "aksjologicznej pustki czasów Aleksandra Kwaśniewskiego"? Po dziesięciu latach pracy IPN-u i pięciu "polityki historycznej" doczekaliśmy w Polsce nie pustki już, lecz aksjologicznej katastrofy. Może gorszej od katastrofy smoleńskiej.

\*Andrzej Romanowski - literaturoznawca, publicysta. Pracuje na Wydziale Polonistyki UJ i w Instytucie Historii PAN, członek jego Rady Naukowej. Autor kilkuset tekstów naukowych, publicystycznych, esejów i 12 książek

Źródło: Gazeta Wyborcza